



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Edward Mierzejewski

Ludziom na ratunek

Od chwili nastania w Polsce mrocznej okupacji hitlerowskiej, mimo zaledwie 10 lat, zmuszony byłem żyć i myśleć jak każdy dorosły Polak. Przez cały okres wojny mieszkałem w Warszawie. Należałem do konspiracyjnej organizacji harcerskiej „Szare Szeregi”, biorąc czynny udział w akcjach ratowania ludzi zagrożonych śmiercią. Byłem więc w pewnym sensie odpowiedzialny za czyjeś życie. Ta ciężka na mnie odpowiedzialność sprawiła, że doroślałem szybciej niż to wynikało z mojego biologicznego wieku.

Szczególne nieszczęście dotknęło w czasie wojny ludzi narodowości żydowskiej, którym na każdym kroku zagrażało niebezpieczeństwo utraty życia. W ich przypadku Niemcy nawet nie starali się doszukiwać jakiejś winy. To samo odnosiło się do osób czy rodzin ukrywających Żydów. Z tych względów przetrwanie okupacji w Warszawie przez niektóre rodziny żydowskie uznać za graniczące z cudem. Mimo wszystko takich „cudów” wydarzyło się sporo. Na szczęście nie brakowało ludzi dobrej woli.

Ja również uczestniczyłem w udzielaniu pomocy osobom ukrywającym się w specjalnych pomieszczeniach naszego domu, w którym zarówno oni jak i ja przetrwaliśmy okupację. Ten szczęśliwy dom mieścił się w Warszawie na Targówku przy ulicy Piotra Skargi 55. Należał do państwa Janiaków. Dziś już go nie ma – został rozebrany, a na jego miejscu pociągnięto arterię komunikacyjną. W czasie wojny właściciel domu, pan Bronisław Janiak, służył w wojsku. Był oficerem WP, lotnikiem Dywizjonu 303 w Anglii. Jego żona, pani Helena, u której zamieszkiwałem, prowadziła sprawy meldunkowe i administracyjne.

Dom Janiaków był dwupiętrowy i wieloizbowy, co umożliwiało przygotowanie lokali z tzw. zamurowanymi drzwiami. Głową całej rodziny i wszystkich mieszkańców był „Dziadunio”, czyli pan Mieczysław Janiak – ojciec pana Bronisława i teść pani Heleny. On również należał do konspiracyjnych organizacji bojowych. Był przyjacielem każdego z lokatorów. Jako człowiek stanowił dla nas wzór doświadczenia, zdyscyplinowania i zaufania. Podczas okupacji był już emerytowanym instruktorem tramwajarzy.

Bardzo byłem podbudowany na duchu, kiedy pewnego razu Dziadunio w sekrecie przywołał mnie do tzw. komórki, gdzie pokazał mi skrytkę narzędziową z ukrytym pistoletem „Vis” wyprodukowanym w zakładach radomskich. Zawsze powtarzał: „Pamiętaj, ta broń przyda nam się, trzeba ją utrzymywać w należytej czystości”. Tak też się stało, niebawem wybuchło bowiem Powstanie Warszawskie i ten pistolet zasilił skromne uzbrojenie powstańców.

Dziadunio zajmował lokal na pierwszym piętrze. Pani Helena mieszkała na drugim. Oba mieszkania były przystosowane do życia konspiracyjnego. Miały zatem zbudowane odpowiednie skrytki i kryjówki dla osób ukrywających się przed hitlerowcami.

Osobiście współdziałałem wówczas w ukrywaniu u nas w mieszkaniu małżonków pochodzenia żydowskiego – państwa Czertów. W porozumieniu z Dziaduniem wyprowadzałem ich na krótkie spacery po pobliskich ulicach, kiedy nie widać było patroli żandarmerii i policji. Najczęściej spacerowaliśmy – oczywiście przy zachowaniu maksymalnej ostrożności – ulicami: Piotra Skargi, Św. Wincentego do Odrowąża i z powrotem. W ten sposób chociaż częściowo można było złagodzić okrutną samotność tych zgębnionych ludzi, brak ruchu i świeżego powietrza. Przywrócić nadzieję i sens dalszego życia.

Z mojej skromnej pomocy ukrywający się Żydzi korzystali przeważnie w godzinach przedwieczornych, krótko przed nastaniem godziny policyjnej. Wracalem wtedy z zajęć warsztatowych kolei „Ostbahn” przy ul. Odrowąża lub ze znanej powszechnie w Warszawie szkoły technicznej, tzw. kolejówki. Szkoła znajdowała się wówczas w zespole budynków z czerwonej cegły przy ul. Piotra Wysockiego 51 na Pelcowiznie. Dodam, że jej uczniowie byli podczas okupacji przymusowo zatrudnieni w warsztatach parowozowych (4 dni w tygodniu). Na zajęcia szkolne pozostawiono nam tylko 2 dni w tygodniu. Oficjalnie uczono tylko przedmiotów zatwierdzonych przez okupanta. W tajnym nauczaniu jednak utrzymywano w kolej owce pełny program, jak dla gimnazjum mechanicznego o kierunku techniczno-parowozowym.

Sprawa tajnego nauczania i związane z tym przeżycia mogłyby stanowić osobne rozdziały wspomnień z lat wojny i okupacji. Tutaj jednak chciałbym skupić się na wcześniej podjętej tematyce.

Oprócz rodziny państwa Czertów w naszym domu przy ul. Piotra Skargi 55 ocaleli również państwo Wolmerowie. Wszelkie rewizje niemieckie były bezowocne.

Nie było nam lekko. Każdy dzień był walką o przetrwanie. Głód i chłód były stałym gościem w naszym domu. Wciąż trzeba było troszczyć się o chleb, produkty żywnościowe, jakieś okrycia. Trudno zliczyć, ile wypraw poza Warszawę odbywałem, by na własnych plecach przy dźwigać wszystko na miejsce. W czasie jazdy pociągiem zdarzało mi się trafiać na rewizje lub łapanki. Odbierano wówczas nawet najdrobniejsze porcje żywności przewożonej do stolicy.

W dniu 14 września 1944 roku przyszło wreszcie wyzwolenie Warszawy Pragi. Państwo Czertowie i Wolmerowie byli uratowani. Po nabraniu sił opuścili kraj w poszukiwaniu swoich bliskich. Mieli nadzieję, że gdzieś tam w świecie ocalał ktoś z ich rodziny. Nadzieja to przecież siła elektromotoryczna naszego życia. Mnie ona również nie opuszczała, chociaż nierzadko sytuacja w czasie okupacji Niemcy deptali nam po piętach.

Pewnego razu na początku 1943 roku Niemcy zatrudnili przymusowo kilku chłopców z kolejówki w Zakładach Mechanicznych, nazywanych w skrócie HKP 554 K-Werk BMW Warschau. Znajdowały się one na Forcie Wola. Produkowały wyłącznie na potrzeby wojska, wobec czego były pod ścisłym nadzorem okupantów. Nadzorcy w większości byli umundurowani, choć wielu fachowców chodziło też po cywilnemu. W halach i w pomieszczeniach fabrycznych panował olbrzymi terror. Ja po krótkim przeszkoleniu zostałem zatrudniony przy szlifowaniu tulei cylindrowych silników spalinowych, przeznaczonych do wielkich gąsienicowych samochodów ciężarowych. Jeszcze przed wybuchem powstania w getcie warszawskim, w zakładach HKP 554 K-Werk BMW przy sprzątaniu hal fabrycznych pracowali również Żydzi. Wyglądali strasznie mizernie i byli bardzo smutni. Taki właśnie obraz utrwalił się w moich wspomnieniach wojennego dzieciństwa. Czasem ze łzami w oczach spoglądali na nas, także przymusowych pracowników, gdy spożywaliśmy symboliczny kawałek powszedniego chleba, nie zawsze wystarczający do zaspokojenia głodu. W takiej sytuacji najczęściej oddawaliśmy swoje porcje żydowskiemu kolegom. Uważaliśmy, że im bardziej są potrzebne. Nie muszę chyba przypominać, że za przekazywanie jakiegokolwiek pożywienia człowiekowi noszącemu gwiazdę Dawida (na ramieniu lub fartuchu roboczym) groziła surowa kara. Nieraz za taki czyn byłem pobity lub skopany przez Niemców. Chęć pomocy bliźniemu była jednak silniejsza – nawet od śmierci – o której zresztą w takich momentach nigdy się nie myślało.

Również moi ukochani rodzice ratowali często bezimiennych uciekinierów z transportów wiozących Żydów. Na przykład z warszawskiego getta – z tzw. Umschlagplatz do Treblinki. Przygarniętych, na wpół żywych, zawsze dokarmiali.

Pamiętam, jak któregoś razu przyjechałem do rodziców i trafiłem akurat na jakąś rewizję (którą już z kolei). Poszukiwano osób podejrzanych. W tym celu przeszukiwano całą okolicę i poszczególne mieszkania. U mojej mamy przebywała w tym czasie uciekinierka z warszawskiego getta. Matka, nie tracąc zimnej krwi, jeszcze przed wtargnięciem Niemców do pomieszczeń zwróciła się do tej kobiety: „Niech pani szybko włoży mój fartuch i zmywa wszystkie naczynia – nieważne czyste czy brudne – do czasu aż wyjdą”. Tak też zrobiła nieznajoma pani. Na pytanie Niemców – „kto to jest”, matka spokojnie odpowiedziała: „Ta pani jest u mnie już od dawna. Pomaga mi, bo ja mam zbyt małe dzieci”. Faktycznie miała jeszcze dwóch moich młodszych braci i jedną, też młodszą siostrę. Byli w wieku 5, 7 i 9 lat. Po raz kolejny udało się Niemców wyprowadzić w pole. I tym razem pobiegli dalej...